





Egz. archiwalny IBL

NR 102

Władysław Stan. Reymont

JESIEŃ
ZIMA
WIGILIA

(z „Chłopów”)



Wydawnictwo Literackie
Oddz. Opieki nad Żołn. I Korp.



11-18818

Władysław
Stanisław
Reymont

urodził się w roku 1868, zmarł
w roku 1925.

Był jednym z czołowych pisarzy
epoki rozkwitu "Młodej Polski".
(O tym kierunku literackim

znajdą nasi czytelnicy obszerniejszą wzmiankę
w zeszycie Nr 82)

Talent Reymonta w całej swej sile
ujawnił się w arcydziele "Chłopi".

W tej czterotomowej powieści dał
nam Reymont całokształt życia i pracy ludu.

Jego chłop jest zasadniczo różnym
od chłopca z "Placówki" Prusa. Z poprzedniego
trwożnego i nieudolnego, jakim był bezpośrednio
po uwłaszczeniu, stał się olbrzymem, pełnym pierw-
otnych, niepohamowanych sił i namiętności, ol-
brzymem wrosłym całkowicie w matkę-ziemię.

W "Chłopach" znajdujemy ponadto wspa-
niałe opisy przyrody, oddawane z prawdziwym
przepychem słowa.

Z innych powieści znakomitego pisa-
rza należy wymienić: "Ziemie obiecane", "Ko-
mediantkę" i "Fermenty".

W Szkocji, w grudniu 1946 roku

Fed.

Jesień.

...A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladym niebie błędziły, lub zatrzymywały się na parobku pochylonym nad pługiem.

... Walek... bruzda krzywa... te ... - zawołał, unosząc się nieco, i chodził już oczami krok za krokiem, za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebierać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stado wron, które ostrożnie z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w bruzdzie i raz w raz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, schłe skiby.

- Walek, śmignij-no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoś po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągnęły do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

- Heeet! - aa! - wołał śpiewnie Walek, wyciągał błyszczący, jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociągnęły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki, i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od rogi po pochyłości, i niby długi wążek zgrzebnych skib, rozciągał się aż ku

wsi leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej, wisiało w połowie drogi pomiędzy południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe, twarde skiby, kładły za się cienie nocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkością w powietrzu przygnionym kurzawą słoneczną; na wysoki, bladym błękitnie leżały gdzieś niegdyś bezładnie porozrzucane, ogromne białe chmury, niby zwały śniegów, nawiewane przez wichry i porstrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola, niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów, misa, przez którą, jak srebrne przędziwo, rozbłysnęło w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łozin nadhrzeźnych.

Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów, niby czerwono-żółta lizska zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przędziwo zagonów, płachty pół szarych, sznury miedz, pełnych kamionek i tarnin, - tylko gdzieś gdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota, łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to bieląły omdlałe, wyschłe łożyska strumieni, albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli zwolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

... Ksiądz, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął na Walka:

- Doórz do brzózek i do domu ... Na nic się konie zmachają!

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach, rozlegał się grochot zsypywanych do wozów ziemniaków, miejscami orano jeszcze pod siew, stada krów srokatej pasły się na ugorach, długie popielate zagony rdzawiły się młodą, szczotką zbóż wschodzących... to gęsi, niby płaty śniegów, bieliły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły, i długie niebieskie warkoczce dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słychać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały, leciał nisko, tłukł się po bruzdach i dołach i tonął, bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach, oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych, sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono rolę, i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał się i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego, niby z obłoku, wychylał się bosy chłop z gołą głową, przewiązany płachtą... Szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka ziarna, nawracał i zwolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca, z tym samym błogosławiącym ruchem siejby, z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię... <http://rcin.org.pl>

... A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się zwolna kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał już i pełzał po polach; sunął brzdami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i zwolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami...

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów, coraz ostrzej brzmiały w cichym omroczo-
nym powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański śpiżowym świergotem, że ludzie przystawali, i szept pacierzów, niby szemranie spadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami, a pokrzykami wesołymi, spędzano było z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste. Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

- Ludzie! a to już czas do domu! mro-
czeje...

- Czas, czas! Słońce już zaszło!

Pozbierali motyczki, koszyki, to dwojaczki od obiadów i szli wolno, gęsiego, miedzą, pogadując coś niecoś...

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała macioreę z prosiętami i śpiewała cienkim głosikiem:

Aj, nie chodź kiele woza,
Aj, nie trzymaj się osi,
Aj, nie daj chłopu gęby,
Aj, choć cię pięknie prosi!...

Lima.

... Nadchodziła zima...

Jeszcze się barowała z jesienią i porykujący tłukła się po sinych dalach jako ten zwierz srogi a głodny, że niewiada było kiej przyprze a skoczy i lutymi kłami weźre się we świat ...
Jeszcze czasami prószyl śnieg nikły, płowy, jesienny śnieg, jeszcze przychodziły dni osłupiałe, chorością sine, ckne, stękliwe, oropiałe i zgoła lamentem przejęte, a lodowym światłem mżące... dni trupie, że ptactwo z krzykiem uciekało do borów, trwożnie bękotowały wody i toczyły się leniwo jakby strachem stężałe; ziemia dygotała, a wszelaki stwór podnosił czujące, lękliwe oczy na północ, w niezgłębioną topiel chmur... Jeszcze noce były jesienne: ośleple, głuche, zamętne, a pełne strzępów mgieł, brzasków gwiazd pomarłych... rozgnięte noce dygotliwego milczenia, przenikniętego zduszonym krzykiem trwogi, pełne wzdychów bolesnych, szamotań, nagłych cichości, wycia psów, targań marznących drzewin, żalonych głosów ptactwa szukającego schronisk, strasznych wołań pustek i rozstajów zgubionych w ciemnicy, łopotów jakichś lotów, cieniów zaczajonych pod ścianami zdrętwiałych chat, mlaskań okropnych, pełzających hukań, zjaw przerażających, nawoływań nierozeznanych, przesywających jęków... Jeszcze czasami, o zachodzie, z posępnych pól ołowianego nieba wylupywało się czerwone, ogromne

słońce i opadało ciężko, niby kądź roztopionego żelaza, z której buchały krwawe wrzátky i były dymy smolisk, czarne, popręgowane gorejącymi żagwiami, że świat cały stawał w lunach i požodze...

I długo, długo w noc dogasały i stygły na niebie krwawe zarzewia, aż ludzie mówili:

- Zima rośnie i w złych wichrach przyjedzie...

I rosła zima, rosła co dzień, co godzina, co oczymgnienie.

Aż przyszła.

A najrychlej przyleciały zapowiednie wici.

Jakoż wnet po św. Barbarze, patronce dobrej śmierci, o cichym, omdłym zaraniu, spadły pierwsze, krótkie, trzepotliwe wiatry, obleciały ziemię ze skowytem, jako te psy węszące tropu, gryzły zagony, warczały w krzaczach, poszarpały śniegi, potar mosiły sady, poomiały ogonami drogi, wytarzały się po wodach i milczkiem urwały kajś niekajś, co starszych strzech i ogrodzen, i jęły się zwijać, a ze skomleniem uciekać na bory, - a po nich, zaraz na odwiecz erzu, zaczęły się wysuwać z mroków długie, świszczące i jakoby koleczaste jęzory wichrów.

Wiały noc całą, a tak zasię skowyczały w polach, kiej to stado zgłodniałych wilków; a hulały rzetelnie, bo ano rankiem ziemia już dropiała spod stratowanych i wyżartych śniegów, gdzie - niegdzie im w dołkach i bruzdach bielily się poszarpane płyty, a zagony świeciły łysicami, drogi leżały skostniałe i przemarzłe, mróz zaś wżerał się ostrymi kłami w ziemię, że dzwoniła jak żelazo. Ale skoro dzień nastał, ucichły poszczekując, pokryły się w lasach i w przyczajeniu dygotały skokiem napiętym, złym.

A niebo zaczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwihrzały siwe grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem - groźną, ponurą i milczącą ciżbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, a olbrzymie góry, postrzępione, podarte, spiętrzone, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zasypanych zielonymi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu zza borów czarnych, nieruchomych, wysuwały się zwolna sine, obrzękle zwały, prześwitujące gdzieniegdzie jakby ogniem, a szły jedna za drugą rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przedwieczne, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwonawe, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych, jakoby pełne tego grzesznego robactwa; a jeszcze i z góry, jakoby z wygasłego słońca, spadały kłakami brunatnymi, to sypały się barwione jako te żuźle stygnące, a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry ogromne i zalewały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat zagnała poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomsdlały, wszystko jakoby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu, z przyczajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chwycił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkim stworzeniem, - widać było, jak zajac gnał przez wieś z rozwianą sierścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół, albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie

chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa, i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca, chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkottłowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne, - uderzyły na wieś i zalały wszystko brudną, lodowatą mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studzienne, świt ostry przeszył ciemności, mgły się skłębily z nagłą, a z pękniętej czeluści wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczym niepowstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i z rozskowyczoną, wściekłą zgrają biły w chmury, rzucały się na ciemnicę i rozwalały ją do dna, przeżerały na wskroś i rozmiatały niby tę słomę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, świsty, szumy, kurzawa.

Ale wichry wiały wciąż, bez mała całą niedzielę, a bez folgi żadnej, ni przystanku.

Dnie, to tam jeszcze człowiek strzymać strzymał, że to ino ci się wiedli na świat, kogo potrzeba gnała; drugie zaś po chałupach siedzieli i konca wyglądali; ale noce były nie do wytrzymania, a przyszły akuratnie jasne, rozgwieżdżone i w górze ciche, ino na ziemi wichura odprawiała diabelskie gody, jakby się naraz ze sto chłopa obwiesiło, że i zasnąć nie było można, jakże, kiej szły takie ryki, trzaski, łomoty i hurkotania, jakby tysiące pustych wozów, a w pędzie największym, przejeżdżało po grudzie, a te tętenty, od których ziemia drżała, a te hukania, Bóg wie, czy je, te wrzaski, te wycia!

Chałupy trzeszczały, bo raz wraz wichura parła barami ściany, tłukła się o węgly, podwa-

żała okapy, za przyciesie się brała, w drzwi tłukła jakby łbem, że niejedne puściły, szyby gniotła, aż trza było wśród nocy wstawać, przytykać poduszkami, bo darła się do wnętrza z kwikiem kiej ta świnia uprzykrzona, a tak prażyła ziąbem, iż ludzie pod pierzynami kostnieli.

Co się naród nacierpiał przez te dni i noce, to i nie wypowiedzieć!

A co szkód narobiła, to i nie zliczyć!

Poobalała płoty, powydzierała poszycia, u wójta prawie nową szopę przewróciła, Bartkowi Kozłowi wzięła dach ze stodoły i poniosła w pola o dobre pół stajania, Winciorkom komin zwała, we młynie zdarła kawał dranicowego dachu, a co stracił pomniejszych, co drzew wyłamanych w sadach i borach!

Na wielkiej drodze wyrwała cosik ze dwadzieścia topoli, że padły w poprzek, kiej te trupy srodze pomordowane i obdarte. W te wiejne i wrzaskliwe dni Lipce (wieś) były jakby wymarłe; wichura hulala po drogach z taką mocą, że kto się ino wychylił z chałupy, wnet go przycapiala za łeb i walała, gdzie popadło: w rowy, o drzewa, na płoty ciepiala, a nawet Jaśka Przewrotnego zwała z mostu do stawu, że ledwie się chłopak wygramolił, a dęła wciąż, sypala piaskiem i niosła gałęzie, wióry, snopki z dachów, czasem i wierzchoł pomniejszych, że leciały w kurzawie niby te ptaszyska rozgonione i tłukły się o ściany, we świat gnały.

Najstarsi ludzie nie baczyli tak swarliwych i uprzykrzonych wiatrów. Gniętli się też po zadymionych chatach i swarzyli z okności niemało, bo ciężko było nosa za węgiel pokazać, tyła, że co niecierpliwsze kobiety przedzierały się raz wraz chyłkiem pod płotami, niby to z kądzielą szły do kum, a głównie, by pomleć ozorami a nawyrzekać; chłopcy zaś młóciły zawzięcie, spoza przywartych wrótni stodoł biły cepy od rana do późnego wieczora, mróz

oważył zboże, to łącniej się łuszczyło, a ino na od-wieczerzu, kiej wichura nieco sfolgowała, niejedyn z parobków przemykał się z ówiartką jaką do karczmy.

A wichry wciąż jednako wiały i gryzły mrozem coraz krzepciej, że już od tej wiejby poza - marzały rzeczki i strugi, bagna stężały, staw nawet pokrył się przejrzystym, modrym prawie lodem, tyle, że ino przy moście, gdzie głębiej było, woda się jeszcze burzyła i nie dawała, ale brzegi leżały już skute na moc, że trzeba było przeręble ciąć dla wodopojów.

Dopiero przed samą św. Łucją przyszła od-miana.

Mróz sfolzał i ociepliło się ździebełko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu przedmuchały świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało, kieby to pole zbronowane, a pokryte wielgachną, siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby na przydrożnych topolach się wsparło.

Ale posępnie było, szaro i głucho ...

Wigilia.

... Wieczór już stał u proga, słońce padało za bory, a czerwone zorze rozlewały się po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, jakby zarzewiem posypane, - ale wieś głuchła i przycichała. Nosili jeszcze wodę ze stawu, rąba-li drwa, to ktoś saniami się śpieszył, aż koniom śledziony grały, biegali jeszcze przez staw, skrzy-piały wrotnie gdzieniegdzie, zrywały się tu i ów-dzie głosy różne, ale zwolna wraz z gaśnięciem zórz i z tą popielną sinością, jaka się sypała na

świat, ruch zamierał, przycichły obejścia i pustoszały drogi ...

Dalekie pola zapadały w mrokach, zimowy wieczór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił i tak ścisnął, że głośniejszy grały śniegi pod tropami i szyby malowały się w różgi i kwiaty dziwne.

Wieś zginęła w szarych śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światelka migotały ostro, a gęściej niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy. W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczora, jak to zwykle przy mrozie, bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło zasnuwać się jakby dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

Józka z Witkiem dobrze byli już przemarzli, bo stali na zwiadach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

- Jest! Jest! - wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrżeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Jużci, że była tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oczach, leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Roch ukląkł na śniegu, a za nim drugie.

- Oto gwiazda Trzech Króli, betlejemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził. Niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Panskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością, i brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty, pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej niby szprychy świętego koła, skrzyły się po śniegach i świetlistymi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą płachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździami.

- Czas wieczerzać, kiedy Słowo Ciałem się stało! - rzekł Roch.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zalegała izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich: pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

- Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! - powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to cały dzień o suchym chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniakami, a potem przyszły

śledzie w mące obmaczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem również namaszczone, a na ostatek podała Jagusia przysmak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki z miodem zatarte i w mawkowym oleju uprażone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia tego...

Cicho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, jakby między nimi leżało to święte Dzieciątko Jezus. Ogromny, a ciągle podsypany ogień wesoło trząsał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż lśniły się szkła obrazów i czerwieniały zamarznęte szyby, a oni siedzieli teraz wzdłuż ławy przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

Potem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali zwolna.

Aż Rocho wyjął z zanadru książkę okręconą w różaniec i zaczął z niej czytać cichym a głębokim, wzruszonym głosem:

- Jako to stała się nowina, Panna porodziła Syna; aż w judejskiej ziemi, w Betlejem, nie bardzo podłym mieście, narodził się Pan w ubóstwie, na sianie, w stajni lichej, między bydłatkami, co w tej radosnej nocy cichej były mu bratami. A ta sama gwiazda, ci i dzisiaj świeci, spłonęła wówczas dla tej świętej Dzieciny i drogę wskazywała trzem Królom, co chociaż pogany i ezarne jak sagany, a serca mieli czujące i z krajów dalekich, zza mórz nieprzejranych, zza gór srogich przybiegli z darami, by prawdzie dać świadectwo " .

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzmagał i rozmadlał i w śpiew prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy siedzieli w milczeniu pobożnym, w ciszy serc zasłuchanych, w drzeniu dusz olśnionych cudem i w najszczerszym odczuciu łaski Pańskiej, narodowi danej.

Hej, mój Jezus // kochany. | W stajence ci to

lichej urodzić się przyszło, tam, w tych krajach dalekich, między obcymi, między żydy paskudne, między heretyki srogie, w ubóstwie takim, w taki mróz! O biedoto przenaajświętsza! O dziecineczko słodka!... Myśleli, i serca były im współczuciem, a dusze się zrywały i niosły we świat, jako to ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, przed ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek Dzieciątka przypadli sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali Mu się w te służki najwierniejsze, aż po wiek wieków, amen . . .

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miękko dziewczuszyisko było i wielce czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś wsparłszy twarz na dłoniach, tak płakała, że jej łzy ciekły przez palce, że chowała głowę za Jędrzycha, którego z otwartą gębą wpodłe słuchał, a tak wielce się dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapotę i wykrzykiwał:

- Cie! Słuchasz to, Szymek! - ale wnet milknął, karcony srogim wzrokiem matki.

- Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

- Dziw, że to nie zamarzło!

- I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć! - powiadali, rozważając, gdy skończył, a Rocho im na to:

- Bo ino - co ochfiarą Swoją i cierpieniem mógł zbawić naród, a gdyby nie to, to jużby Zły całkiem zapanował nad światem i wybierał dusze la siebie...

.
- Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc Narodzenia i każde bydłatko rozumie człowięczą mowę i przemówić jest zdolne, że to między nimi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie - ludzkim głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z nimi czujące, więc

i opłatkiem trza się z nimi podzielić.

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, glamiąc powoli, ale na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawania, a odwracać ciężkie, ogromne łby.

- Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje między wszystkie. Darzyć co się będą lepiej i nie chorować, - jeno jutro rano doić nie można, aż wieczorem; straciłyby mleko.

Jaguś połamała opłatek na pięć części, i przechylając się nad każdą krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w gębule, na szerokie ostre ozory.

- A koniom to nie dacie? - zagadnęła Józka.

- Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby, a Rocho mówił:

- Każde stworzenie, trawka każda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana, - wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie, że Pan się narodził...

- Jezus kochany! Wszystko! To i ta ziemia, co ino jest na świecie, czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się zlituje i rzeknie:

" Wstań, duszo, ożyj, zasługuj się niebu! "

Bo i robaczek najmniejszy, i ta trawka chwiejna, wszystko się po swojemu zasługuje i po swojemu chwały Pańskiej dostępuje. A w tę noc jedną na rok cały wszystko się podnosi, przecyka, nadśluchuje, a czeka tego słowa.

Dla jednych ono przychodzi, dla drugich jeszcze nie kolej, to legną potem w mrok, cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, drzewem, kto jeszcze czym innym, jak tam któremu Bóg naznaczył.

Zamilkli, rozważając, co powiedział, bo ma-



drze był rzekł, prosto do serca, ale się to Borynie ni Dominikowej nie widziało czystą prawdą, bo ją sobie w głowie przekładali, i tak i owak, a pojąć tego nie mogli. Juścić moc Boska jest nieodgadniona, a cuda czyniąca, ale żeby kamienie i wszystko duszę swą miało, nie mogli tego wymiarkować. I nie myśleli już nad tym dłużej, bo przyszli kowalowie z dziećmi.

.
A tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że w tę noc zwierzęta ludzką mowę mają, wywołał po cichu Józkę, i poszli oboje do obory.

Trzymając się za ręce i dygocąc ze strachu, a zegnając się raz po raz, wsunęli się do obory, pomiędzy krowy.

Przyklękęli przy największej, jakby przy matce całej obory. Tchu im brakowało, dusze się trzęsły, łyzy nabiegały do oczu, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąc:

- Siwula ! Siwula !

Nie odrzekła ni tym słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała gębulą, pomlaskując ozorem.

- Cosik się jej stało, że nie odpowiada ... może za karę ? ...

Przyklękli przy drugiej, i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem prawie:

- Łaciata ! Łaciata !

Przywarli oboje jej do pyska, słuchali z zamartwym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic

- Grześniśmy pewnie, to nie usłyszemy; ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne

- Prawda, Józka, prawda, grzeszne my, grzeszne, mój Jezus

Prawda... juści, wzięłam gospodarzowi postroneczek... a i ten rzemień stary... a i te ... - Nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal, i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i tak popłakiwali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje, a grzechy wszystkie . . .

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku; śpiewali teraz pieśni nabożne, że to nie czas przed północkiem na kolędy ...

Umilkli naraz, bo ostry, przenikliwy głos sygnaturki przedzierał się do izby.

- Sygnują na pasterkę, trza się nam zbierać...

Jakoż w pacierz, może, wyszli wszyscy... Noc była mroźna, roziskrzona gwiazdami, morderawa.

Sygnaturka wciąż dzwoniła i jako ten ptaszek świergotała, zwołujący do kościoła. Kto był żyw, do kościoła ciągnął, zostały ino po chałupach całymkiem stare, chore albo kaleki.

Już z daleka widniały rozgorzałe okna kościelne i główne drzwi na oścież otwarte, a światłem buchające, naród zaś płynął przez nie i płynął jak woda, zwolna zapełniając wnętrze, przystrojone w jodły i świerki, że jakoby bór gęsty wyrósł w kościele, tulił się do białych ścian, obrastał ołtarze, z ław się wynosił i prawie sięgał czubami sklepień, a chwiało się i kołysało pod naporem tej żywej fali, i przyskaniał mgłą, parami oddechów, zza których ledwie migoły jarzące światła ołtarzów.

A naród wciąż jeszcze nadchodził i płynął bez końca...

Kościół był zapchany do cna, aż do tego ostatniego miejsca w kłuciu, że którzy byli ostat-

ni, to już na mrozie pod drzewami pacierze mówili.

Ksiądz wyszedł ze mszą pierwszą, organy zagrały, a naród się zakołysał, pochylił i na kolana padł przed majestatem Pańskim.

I już cicho było, nikt nie śpiewał, a modlił się każdy, wpatrzony w księdza i w tę świeczkę, co płonęła wysoko nad ołtarzem; czasem się ksiądz odwrócił, rozkładał ręce, powiadał w głos łacińskie święte słowo, to naród wyciągał ramiona, wzdychał głęboko, pochylał się w skrusze pobożnej, bił się w piersi i modlił żarliwie . . .

Potem zaś, gdy się msza skończyła, ksiądz wlaź na ambonę i prawil długo, nauczał o tym dniu świętym, przestrzegał przed złem, gromił, rękami wytrząchał i grzmiał tym słowem palącym, że jaki taki westchnął ciężko, kto się bił w piersi, kto się w sumieniu z win kajał, kto się zamedytował, któren znów co miętszy, a kobiety zwłaszcza, płakał, - bo ksiądz mówił gorąco a tak mądrze, że każdemu to szło prosto do serca i do rozumu - juści, że tym ino, co słuchali, bo wiela było takich, których śpik zmorzył z gorąca.

A dopiero przed drugą mszą, kiej naród już skruszał nieco modleniem się, huknęły znowu organy, i ksiądz zaśpiewał:

" W żłobie leży, któż pobieży ... "

Naród się zakołysał, powstał z klęczek, wraz też podchwycił nutę i pełnymi piersiami, a z mocą, ryknął jednym głosem:

" ... kolędować Małemu ? ... "

II

18.811-

-18.834